Nr. 180. Kraków, Czwartek 5 sierpnia 1909. Rok II.

GAZETA POWSZECHNA

PRENUMERATA: w Krakowie 1 Kor. (kwartalnie 3 Kor.) Z dostawą do domu w Krakowie i na prowincji miesięcznie 1 K. 50 h. (kwartalnie 4 K. 50 h.) W Niemczech kwartalnie 5 K. 50 h.; w innych krajach, należących do związku pocztowego, kwartalnie 7 K. 50 h.

Ogłoszenia: od miejsca za jednoszpaltowy wiersz petitowy 16 h. za pierwszy raz, za każdy następny po 8 hal. — Drobne ogłoszenia po 4 hal. od słowa, najmniej jednak 10 słów. — Nadesłane po 50 hal. od wiersza.

Pojedynczy numer 4 halerze tak w Krakowie jak i na prowincji.

Do nabycia w całym kraju w trafikach i biurach dzienników.

Wychodzi codziennie o godzinie 6-ej wieczór.

Redakcja i Administracja: św. Anny 4, II p. — Telefon Nr. 565.

Z dnia.

= W sprawie Krety Porta wysyła dziś rządowi greckiemu nową notę.
= Młodoturcy domagają się od rządu tureckiego czynnego wystąpienia w sprawie Krety.
= W Hiszpanji — uspokojenie.
= Kto pierwszy latał po powietrzu.

Kochajmy rząd wiedeński!

(Wszechpolsko-wszechniemieckie braterstwo wobec cyfr budżetu).

III.

Wiedeń, 3 sierpnia.

Ministerstwo oświaty.

(B.). „Górą braterstwo broni z Niemcami. Precz z opozycją. Słuszna, że na trzynastu ministrów jest dziewięciu Niemców. Rząd t a k i popierać, jest patrjotycznym obowiązkiem każdego prawego Galicjanina".

Oto słowa ewangelji wszechpolskiej.

Szukajmy dalszych argumentów, oświetlających powyższą zasadę.

Szkoły średnie państwowe.

Jest ich w Austrji razem 329 (gimnazjów 219, szkół realnych 112). Do wszystkich tych zakładów uczęszcza łącznie 113.682 uczniów (w gimnazjach 77.389, w szkołach realnych 36.293). Gwoli zupełności nadmieniam, że do szkół średnich prywatnych uczęszcza razem 24.319 uczniów *).

Otóż warto wskazać, że z ogólnej liczby szkół średnich państwowych, jest ich:

*) W sprawozdaniu budżetowem, które w tym dziale opracował p. G ł ą b i ń s k i, zachodzi, co do frekwencji, różnica o 10.000 uczniów, polegająca na błędnem obliczeniu.

w Czechach .	108	= 62 gimn.	a 46 szk. realn.
w Galicji . .	66	= 53 gimn.	a 13 szk. realn.
w Austrji doln.	38	= 21 gimn.	a 17 szk. realn.
na Morawach .	38	= 30 gimn.	a 8 szk. realn.

Natomiast uczniów do tych szkół uczęszcza:

w Czechach	do szk. realn. 14.859	do gimn. 15·555
w Austrji d.	do szk. realn. 7.743	do gimn. 7.598
na Morawach	do szk. realn. 2.781	do gimn. 7.450
w G a l i c j i	do szk. realn. 3.764	do gimn. 29.991(!!)

Czyli: w Czechach razem 30.414 uczniów
w Austrji d. razem 15.341 uczniów
na Morawach razem 10.531 uczniów
w G a l i c j i razem 33.755 uczniów

Pan Głąbiński jako delikatny wszechpolak, nie miał równej panu Górskiemu odwagi, aby rządowi przy tej sposobności nagadać grubiaństw. Cichuteńko drukuje cyfry nie dodając żadnej od siebie uwagi A przecież zestawienie powyższe uczy, iż wedle klucza obowiązującego dla Czech, powinna Galicja mieć szkół średnich państwowych 116, wedle klucza dla Moraw, powinna ich mieć nawet 125.

Ma ich w rzeczy samej... 66!!

Ale może personal nauczycielski jest większy i w ten sposób różnica się wyrównuje?

Popatrzmy:

W Czechach liczba dyrektorów i nauczycieli wynosi 1515;
w Austrji dolnej 591;
na Morawach 503;
w G a l i c j i 967.

A przecież wedle klucza istniejącego np. dla Moraw, ilość nauczycieli wynosićby powinna w Galicji osób... 1877!!

A teraz rzut oka na szkolnictwo ludowe. Jaka jest statystyka męskich seminarjów nauczycielskich, przez państwo utrzymywanych?

Czechy mają ich 16, Galicja 12. W tych 16 seminarjach czeskich jest sił nauczycielskich 187, w Galicji 161.

A przecież we wszystkich niemieckich seminarjach całego państwa jest uczniów 3780, w seminarjach czeskich 1975; w Galicji kandydatów stanu nauczycielskiego jest 2657!

Rozstając się z etatem ministerstwa wyznań i oświaty, gdzie w każdym niemal dziale tyle budujących znalazło się dowodów korzyści ze ślepego popierania rządu, nie zawadzi napomknąć o jeszcze jednej kategorji czynności tego ministerstwa, z której przebija osobliwsza dla nas pieczołowitość.

Dodatek do sprawozdania budżetowego wymienia sposób użycia kredytów przyznanych rządowi na rok ubiegły (1908), pod tytułem zleceń i zakupna dzieł sztuki i subwencji artystycznych.

W roku tym (1908) poczynił minister oświaty dziewięć zamówień na dzieła sztuki (portrety, biusty) ż a d n e z t y c h z a m ó w i e ń n i e d o s t a ł o s i ę p o l s k i e m u a r t y ś c i e.

W roku ubiegłym zakupił minister oświaty 78 obrazów i rzeźb, z funduszów państwowych. Z tej liczby przypada na artystów polskich obrazów... dziewięć!!

Trzydziestu czteru stowarzyszeniom i komitetom, utworzonym dla celów artystycznych, udzieliło ministerstwo subwencji w rozmaitych kwotach. Ani jedno p o l s k i e stowarzyszenie, lub komitet, n i e o t r z y m a ł n a j m n i e j s z e j s u b w e n c j i p o d o b n e j.

W roku 1908 obdzielił minister oświaty 28 czasopism naukowych, subwencjami. Z pism polskich jeden »Kosmos« otrzymał drobne wsparcie.

Sześćdziesiąt siedem towarzystw i przedsiębiorstw naukowych w Austrji otrzymało dla celów swych subwencje rozmaite. W liczbie tej figuruje... sześć polskich towarzystw.

W ten sposób zapoznaliśmy się w głównych

To „coś".

(Z pamiętnika kandydatki na narzeczoną).

(Dokończenie).

17 marca.

Wczoraj odbyła się druga zabawa u państwa B. Byłam otoczona rojem tancerzy — podziwiana, zasypywana życzeniami.

Po pierwszym walcu przyszedł do mnie Zenon B. i prosił mię do kadryla — odpowiedziałam, ażeby się zapytał o to mego narzeczonego.

Stefan gra swą rolę doskonale! Niby się nie godzi — namyśla — wreszcie zezwala.

Przetańczyłam z Zenonem salę dookoła kilka razy — wreszcie zatrzymał się koło małego saloniku i zapytał przyciszonym głosem ze smutkiem w oczach:

— Więc to prawda? Pani wychodzisz za swego kuzyna?

— Jest to życzeniem rodziców...

— A pani! Kocha go pani?

Udaję zmieszaną, niepewną — staram się zarumienić, mówiąc:

— Nie wiem dokładnie... nie pomyślałam o tem, czyby mnie mógł inny, prócz Stefana, pokochać...

— A jednak gdyby tak było! — odpowiedział drżącym głosem. — Jeżeliby panią inny kochał?

— Och... toby mi był powiedział... nie... nie... tańczmy.

Chciał coś widocznie mówić, coś, co go dręczyło, bo znowu po kilkurazowem przetańczeniu zatrzymał się aż w saloniku, gdy w tem najniespodziewaniej nadszedł Stefan.

— Dlaczego nie jesteś na ogólnej sali — wszędzie cię szukam — mówiąc to, minę miał bardzo zazdrosną.

Zenon cofnął się w tej chwili.

— Czy na tego zagięłaś parol? — zapytał cicho.

— Tak.

— Szczególny gust!... Zresztą tańczmy w imię Boże!

Mówiąc to, ujął mnie po wojskowemu w pół, a przyznać muszę, przyciskał silniej, aniżeli potrzeba było, prawił mi komplementa, przyczem wąsami co chwilę dotykał mej twarzy. Kilka razy przesunęliśmy się tańcząc koło Zenona, który za nami bez przestanku wodził rozkochanemi oczyma.

Na chwilę wmieszał się w koło tańczących, by zaraz znowu znaleść się w pobliżu nas. Widać jakaś tajemna siła ciągnęła go w moją stronę

Gdy tylko Zenon był w pobliżu nas — Stefan zaraz mocniej przyciskał mię do siebie. Jego blond wąsy coraz częściej muskały twarz moją! Dosko nale udawał zakochanego!

Wreszcie nie wąsy, ale gorące usta jego poczułam na swej twarzy... tańczył wspaniale — nie mając wcale zamiaru przestać, aż musiałam go o to sama poprosić.

— Zaraz skończą grać walca, proszę, odprowadź mnie na moje miejsce.

W tej samej chwili już Zenon był przy mnie, chciał najwidoczniej prosić mnie do tańca, lecz Stefan uprzedził go, mówiąc:

— Moja kuzynka tańczy dzisiaj tylko ze mną.

Zenon cofnął się pomięszany.

Stefan świetnie odgrywa swą rolę zakochanego narzeczonego, — w czem mu dopomagam z całych sił.

Śmiejąc się z jego komplementów, rozmawiam z nim cichutko, patrząc mu w oczy... a mimo tego nie zapominam od czasu do czasu rzucać w stronę Zenona rozmarzonych — tęsknych spojrzeń.

. . . .

Pod koniec zabawy Zenon pospieszył do garderoby po moje okrycie, lecz Stefan odebrał i sam otulił mnie troskliwie.

Na odchodnem, podając rękę Zenonowi, wyszeptałam cichutko:

— Żegnam.

— Nie, nie żegnam, lecz do widzenia — szepnął.

Stefan zeszedł tymczasem ze schodów i jakby co dopiero zauważył, że mnie obok niema, zawołał z dobrze udanem zniecierpliwieniem w głosie:

— Czego zatrzymujesz się — chodź prędko!

Zbiegłam szybko ze schodów, a będąc w powozie, szeptałam mu cichutko:

zarysach z następstwami wyłącznie niemieckiej gospodarski w obrębie ministerstwa oświaty. Czy frakcja narodowo-demokratyczna przytoczy cyfry powyższe na poparcie swojego sojuszu z hakatą austrjacką?

Po zjeździe młodzieży polskiej w Zakopanem.

Ten, kto był na Walnym Zjeździe T. S. L. w Kołomyji, kto widział postępowanie wszechpolaków na Zjeździe Tow. Kółek rolniczych, jechał na Zjazd zakopiański z uczuciem wielkiego pesymizmu, z uczuciem nawet słusznych obaw, że zjazd ten, pierwszy w swoim rodzaju, który miał być nietylko manifestacją grup politycznych młodzieży, który miał dać nietylko negatywny czysto zakaz uczęszczania na uniwersytety rosyjskie, lecz miał w pierwszym rzędzie, a przedewszystkiem dać młodzieży w rękę realny atut dla przeprowadzenia bojkotu i zorganizować instytucję finansową dla jego popierania — celu swego nie dopnie, nie wypełni swego zadania, ponieważ niemożliwą jest obecnie rzeczą współdziałanie w jakiejkolwiek robocie razem z bojówką Battagljów i Grabskich.

I przewidywania pesymistów sprawdziły się: »Samopomocy« nie zorganizowano z winy wszechpolaków, którzy tej »Samopomocy« bezpartyjnej nie chcieli.

Dzień pierwszy Zjazdu zajęła zupełnie prawie »komisja weryfikacyjna« swymi wnioskami, które przeważnie były demaskowaniem chciwości i zachłanności wszechpolskiej, dążności do osiągnięcia »per fas et nefas« większości na Zjeździe.

Pominę delegowanie reprezentantów Kółek, zawiązanych w łonie towarzystw, które jako takie, delegatów swych wysłały; delegowanie 17 reprezentantów lwowskiej »Czytelni akademickiej« przez walne zebranie aż 16 (!) jej członków, »zamianowanie« 12 delegatów »Bibljoteki słuchaczów prawa« we Lwowie« przez prezesa »listownie«; »urzędowe« stwierdzenie, że »Akademickie Koło T. S. L.« w Krakowie na 840 członków liczy 800 (?) akademików (!). Napiętnować jedynie muszę sposób »robienia« delegatów w samem Zakopanem. Stwierdzono, że członek »Komisji weryfikacyjnej«, wszechpolak, gladjator myśli narodowej, obdarował mandatem lwowskiej »Czytelni akad.« bawiącego w Zakopanem abiturjenta gimnazjum rzeszowskiego — który w ten sposób dopiero dowiedział się o takiej instytucji — (sparzyli się biedacy, bo delegat był przypadkowo postępowcem!); obdarowanie mandatem ucznia szkoły drzewnej w Zakopanem! — Takich i tym podobnych faktów postępowcy na Zjeździe podnosić nie chcieli, aby nie zasłużyć na nazwę »antynarodowych rozbijaczy zjazdu«; w prasie jednak napiętnować je trzeba i należy!

Dwa dni pozostałe poświęcono — jak wiadomo z listów waszego korespondenta — obradom nad bojkotem, nad daniem praw abiturjentom szkół polskich prywatnych w Królestwie, oraz nad »Samopomocą«.

W sprawie samego bojkotu różnic prawie że nie było. Różnice zdań zarysowały się w umotywowaniu akcji bojkotowej, co ujawniło się w odpowiednich rezolucjach.

Większość (wszechpolacy, frakcja rewolucyjna P. P. S. i lwowska grupa ludowców) postawiła rezolucję, w której oświadcza, że »postanawia dalej prowadzić bojkot szkoły rosyjskiej, jako jeden z przejawów walki o polityczne i narodowe uprawnienie« narodu polskiego »w dziedzinie swego bezpośredniego działania«; umotywowano ją tem, że »reakcja rosyjska dąży do niszczenia instytucji nawet kulturalnych«, »szykanuje szkoły prywatne«, »szykanuje je, czyniąc z nich igraszkę kaprysów rosyjskiej administracji«, »odbiera tę odrobinę wolności obywatelskiej i narodowej, która została ciężkiemi ofiarami ludu polskiego zdobyta i gotuje nowe ciosy, jak zamiar oderwania ziemi chełmskiej«. Zakończono apostrofą do wszechpolaków: ».... to wszystko niweczy złudne nadzieje na pokojowe i stopniowe uzyskiwanie od caratu ustępstw«.

(Głosowali za tem n. b. wszechpolacy; a co na to Dmowski i tow.?)

Rezolucja mniejszości (prawicy P. P. S. i krakowskiej grupy ludowców i postępowych demokratów) wyrażała myśl, że »ruch szkolny w Król. Polskiem jest historycznie i co do swej istoty częścią składową ogólnej rewolucji w caracie«, że wystąpił on wtedy, »gdy lud polski, łącznie z wszechplemiennym ludem całego państwa rosyjskiego wystąpił do walki z absolutyzmem«, że »łączność ta ujawniała się niezmiennie«, że »jedynie rewolucja zapewni nam szkołę polską świecką, dostępną dla najszerszych warstw narodu«; że »zwycięstwo nasze odsuwa w dal reakcja w łonie społeczeństwa naszego, objawiająca się w haniebnej polityce Koła polskiego w Dumie«, że wreszcie przeprowadzenie bojkotu »zależne jest od spotęgowania się ruchu rewolucyjnego w caracie i skutecznej walki z reakcją w łonie samego społeczeństwa polskiego«, zaś »udział społeczeństwa polskiego w tej walce powinien polegać nie na słowach zachęty, lecz na bezpośredniem, ofiarnem i czynnem współdziałaniu z młodzieżą«.

W związku z tą rezolucją były dwa wnioski mniejszości, potępiające postępowanie posłów polskich w Dumie za ich nienarodową i niepolską działalność, oraz enuncjację trzech stronnictw w sprawie bojkotu szkół średnich.

W głosowaniu nad tymi wnioskami sytuacja się zmieniła; przeciw oświadczyła się tylko grupa wszechpolska z kilku klerykalnymi adherentami. Zjazd podzielił się na dwa obozy: wszechpolaków i postępowców, i ten stan trwał do końca Zjazdu. Wszechpolacy, nie mogąc bronić otwarcie polityki Dmowskiego, nie oświadczyli się ani przeciw, ani za, wnioski zwalczali niby ze względów formalnych; zaszachowani kręcili się jak piskorze, nic jednak nie pomogło: jeden z postępowców napiętnował ich, jako zwolenników polityki dumskich posłów. Ciekawe było wypieranie się ustawiczne »młodzieży wszechpolskiej«, „narodowych pałkarzy lwowskich« od wszelkiej łączności z endecją.

Na dwa ostatnie punkty porządku dziennego zostału stosunkowo za mało czasu. Mówiono o prawach abiturjentów i abiturjentek szkół polskich prywatnych w Królestwie Polskiem na Uniwersytach austrjackich. Obrady zdemaskowały znowu wszechpolaków, jako przeciwników praw kobiet. Sprawę tę delegaci wszechpolscy albo omijali, albo starali się zbyć nic nie znaczącymi ogólnikami. Postępowanie ich w tej sprawie zwłaszcza na gruncie lwowskim zostało dosadnie przedstawione przez główną referentkę.

Gdy przyszło do obrad nad »Samopomocą«, która miała być niejako ukoronowaniem całego zjazdu, okazało się, że wszechpolakom więcej pachnie taka organizacja, którąby była zupełnie w ich rękach, utworzona przy towarzystwach wszechpolskich „Ogniwie“ i „Zjednoczeniu tow. pol. za granicą“, aniżeli instytucja poświęcona całym masom młodzieży polskiej. Oświadczyli, że za mało mają czasu do namysłu nad tem; przewódca ich lwowskiej bojówki nie chciał nawet przyjąć miejsca w komisji zjazdowej, poświęconej tej sprawie... W końcu polecono wybrać komisję po czterech delegatów wszechpolskich i postępowych, — sprawa poszła w odwłokę, wkrótce też pójdzie w zapomnienie...

Na zapytanie tedy, czy zjazd dokonał tego, do czego był zwołany, odpowiedzieć niestety musimy: nie! Nie, bo hasło: „bojkot Uniwersytetu warszawskiego“ pozostać musi prawie że platonicznem, ponieważ zjazd nie załatwił się z kwestją, co zrobić z tymi, którzy chcą bez względu na wszystko iść do uniwersytetu choćby rosyjskiego, a nie mają środków na studja poza Warszawą. Bojkot, jeżeli ma być skutecznym, musi być powszechnym, a takim nie będzie, ponieważ gwardja Dmowskiego tego nie chciała i chcieć nie mogła — nie miała bowiem czasu, bo spieszno jej było na... kolację!...

Zjazd w Zakopanem, który miał zadanie zjednoczyć całą polską młodzież w obronie naszych spraw narodowych, który miał zadokumentować, że młodzież polska umie pracować na wspólnych terenach, jakie jej życie nasuwa, był tylko manifestacją bojkotową, nic realnego, nic pozytywnego nie dał. Otrzeźwił jeno tych ludzi z grup postępowych, którzy marzyli jeszcze o wspólnej pracy całej młodzieży i przekonał wszystkich, że rok, w którym społeczeństwo polskie przejdzie do porządku nad partją narodowo-demokratyczną, będzie tym rokiem, w którym młodzież polska będzie się mogła porozumieć ze sobą i radzić nad sprawami ogólno-narodowemi.

Poronin w lipcu. *Woj.*

— Mój biedny Stefanku, bardzo cię męczyło i nudziło to udawanie?...

— Nie... przeciwnie... tylko nie może mi się pomieścić w głowie, jak ci się może podobać taki młodzik.

24 marca.

Trzecia tańcująca zabawa. Zenon dał mi do zrozumienia, że jest we mnie naprawdę zakochany. Stefan udaje doskonale, a tańczy nadzwyczajnie... rozkosznie...

30 marca.

Ostatnia zabawa — u państwa B., Zenon złapał się. Jutro ma być u ojca i oświadczyć się o mnie. Nareszcie już uwolnię Stefana z jego roli — którą się naprawdę przejmuje, bo będąc przy mnie, wciąż mię całuje i prawi czułości.

31 marca.

Zenon oświadczył się dzisiaj ojcu, a ja dodałam, że kocham go!

Gniew ojca, zdziwienie matki — wymówki — musiałam więc zaraz powiedzieć, że Stefan na prośby moje gotów jest mnie zwolnić z danego mu słowa.

Po tem wszystkiem pobiegłam do jadalni, gdyż wiedziałam, że zastanę tam Stefana — a wyciągając obie ręce do niego, zawołałam:

— Ach mój jedyny Stefanku! Dzięki Tobie zwyciężyłam! Oddaję Ci znowu Twoją wolność.

Popatrzył na mnie dziko i krzyknął:

— Nie przyjmuję podziękowań!

— Jakto? nie chcesz, by ci przynajmniej rękę uścisnąć?!

— Ja żądam czegoś więcej!

— Nie rozumiem cię!

— Przeciwnie rozumiesz doskonale! — przerwał mi.

— Zgodziłem się, namówiony przez ciebie do odegrania roli narzeczonego na żart i udawałem rozkochanego w Tobie, aż żart przemienił się w prawdę. Mam już dosyć tego tańca, ściskania, słodkich słówek, niby to udawanych, ażebyś złapała Zenona — teraz chcę Cię sciskać na własny rachunek! Twój pomysł z ową blaszaną rybką dla przynęty i złapania grubej ryby, nie był złym, bo ja właśnie zostanę nie blaszaną, ale grubą rybą! Ze słowa cię nie zwalniam!

— Ależ kochany drogi Stefanku...

— Wszystko na nic — nie zwalniam cię i basta! Kocham cię szalenie i nie myślę o niczem innem, tylko o Tobie. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie... Skończ tę historję, jak chcesz, lecz że się nie cofam — pamiętaj. Co braliśmy za żart, było prawdziwem uczuciem. Słowa ci nie zwracam!

1 kwietnia.

Nie mam wyjścia. Ojciec zły, mama płacze, Zenon wzdycha, Stefan klnie — można oszaleć.

Biliński udekorowany pruskim orderem! Telegraf po całym świecie rozniósł wieść, że cesarz Wilhelm ozdobił pierś »naszego«, »polskiego« ministra skarbu wielkim krzyżem Czerwonego Orła!

Czy nie raduje się wam dusza — wy wszyscy, których uszu dojdzie ta radosna wiadomość!?

Aby radość ta była pełna, aby nie pomylił się nikt, jak wielkiego odznaczenia z rąk pruskiego ciemiężyciela narodu naszego dostąpił ten »nasz« polski dostojnik, należy przypomnieć, że według rewelacji Burcewa w paryskim »Matin'ie« prowokator Harding również jest posiadaczem pruskiego »Orła Czerwonego«.

W dobie braterstwa broni z wszechniemcami należało się p. Bilińskiemu tak **wysokie odznaczenie!**

Z życia krakowskiego.

Program przyjęcia czeskiej wycieczki w Krakowie, w dniach 9—11 sierpnia b. r. — Wczoraj odbyło się posiedzenie komitetu wykonawczego dla przyjęcia wycieczki czeskiej pod przewodnictwem wiceprezydenta miasta dra H. Szarskiego. Na posiedzeniu ustalono następujący program przyjęcia wycieczki czeskiej w Krakowie:

Poniedziałek 9 sierpnia: Przyjazd uczestników wycieczki pociągiem nadzwyczajnym o godzinie 8·30 wieczorem. Powitanie wycieczki na dworcu przez I. wiceprezydenta miasta dra H. Szarskiego.

Wtorek 10 sierpnia: O godz. 8 rano punkt zborny w mleczarni Dobrzyńskiej na plantach (śniadanie). Od godziny 9—12 zwiedzanie miasta w trzech grupach pod przewodnictwem pp.: Pagaczewskiego, Szukiewicza i Urbańskiego.

O godz. 12 ej w południe powitanie delegatów wycieczki w ratuszu.

O godz. 12·30 śniadanie w sali Tow. Strzeleckiego, dane przez obywatelstwo krakowskie.

O godz. 2·25 odjazd do Wieliczki.

Bilety, uprawniające do wzięcia udziału w wycieczce do Wieliczki, będzie można nabyć u sekretarza komitetu p. Robaka, we wtorek dnia 10-go sierpnia b. r., podczas śniadania w mleczarni Dobrzyńskiej, od godz. 7'30—9 rano, po cenie 5 koron, w co wlicza się: bilet kolejowy do Wieliczki i z powrotem, oraz wstęp do kopalni.

O godz. 7 wieczorem powrót z Wieliczki.

O godz. 8 przedstawienie w teatrze („Halka").

O godz. 10 wieczorem raut w sali Starego Teatru, dany przez miasto na cześć gości czeskich.

Środa 11 sierpnia: O godz. 9 rano śniadanie w mleczarni Dobrzyńskiej.

Od godz. 10—12 dalsze zwiedzanie miasta.

O godz. 2·55 po południu pożegnanie i odjazd wycieczki do Częstochowy.

Czwarte posiedzenie komitetu wykonawczego odbędzie się we czwartek dnia 5 sierpnia b. r., o godz. 6 wieczorem w sali konferencyjnej Rady miasta.

W wycieczce Czechów do Polski bierze udział szereg wybitnych osobistości. Między innymi przybywają do Krakowa pp. Brzeznowski Wacław radca m. Pragi, Broft Franciszek radca m. Pragi, dr Bulin Ignacy poseł do rady państwa, Cizler Jan, radca m. Pragi, Czech L. J. poseł do rady państwa, dr Czerny Wratisław, radca m. Pragi, Czerveny Jan, radca m. Pragi, dr. Grosz Karol, burmistrz m. Pragi i poseł sejmowy, Fischer Ryszard, poseł, Hlavacek Franciszek, urzędnik starszy izby handlowej z Pragi, Holeczek Bogumil, budowniczy z Pragi, Howorka Franciszek, redaktor z Pragi, Hrazky J. W. prof. techn. i poseł do parl. z Pragi, Jirousek Józef, wiceburmistrz Pragi i poseł sejmowy, Jonda Sruold, c. radca, prezes morawskiej rady przemysłowców, dr Kadlec Karol, prof. uniw. z Pragi, Krousby Jan, radca m. Pragi, Koubek Antoni radca m. Pragi, Krizenecky architekt, prof. techniki, Krziżik Franciszek, radca ces., członek izby panów, repr. izby handlowej i przemysłowej z Pragi, Cyryl Papouszek, poseł sejmowy, dr Karek Pik, radca miejski, Eliszka z Purkynu, prezesowa stowarzyszenia czesk. kobiet, Franciszek Iskrereny, radca m. Pragi, Seyjd Józef, radca miejski z Pragi, Swejk Józef, poseł do rady państwa, Valenta Józef, starszy inż. krajowy, Votruba Jan, prezes tow. eksportowego, Zazvorka Antoni, wiceprezydent Rady państwa, Franciszek Prochazka, dyrektor banku krajowego i reprezentant Akademji.

Z dziennikarzy przybywa 13 redaktorów głównych pism czeskich.

Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie stróżów katolickich odbyło się w ubiegły poniedziałek, pod przewodnictwem prezesa p. A. Capa. P. Ludwik Gołąb wygłosił referat o stosunkach stróżów. Stróże pragną przez Stowarzyszenie wykazać społeczeństwu swoją pracę uczciwą, za którą słusznie domagają się lepszych warunków płacy. W sprawie mieszkań i złego obchodzenia się ze stróżami, zabierało głos kilkunastu członków. — P. Gołąb podniósł zasługi członka honorowego ś. p. Adolfa Jugendfeina i wezwał zgromadzonych do oddania czci zasłużonemu mężowi przez powstanie. Na propozycję wydziału jednogłośnie zamianowano za zasługi, położone około rozwoju Stowarzyszenia, księdza Włodzimierza Leduchowskiego i p. Mieczysława Jurjewicza, członkami honorowymi

Nowy dyrektor szpitala św. Łazarza. Urzędowa „Wiener Zeitung" ogłasza: Cesarz zamianował prymarjusza powszechnego szpitala we Lwowie dra Józefa Krzyszkowskiego dyrektorem krajowego szpitala św. Łazarza w Krakowie.

Banknoty dziesięcioguldenowe. Bank austro-węgierski ogłasza, że 10-guldenówki z datą 1 maja 1880 r., które dotychczas wymieniały jeszcze główne zakłady banku i filje, po 31 sierpnia nie będą więcej w kasach banku przyjmowane.

Naciągacz. Z poważnych sfer kupieckich naszego miasta piszą nam: Przed kilku tygodniami obchodził tutejszych kupców i przemysłowców młody mężczyzna, lat około 22 liczyć mogący, blondyn, o orlim nosie, który przedstawiał się jako „słuchacz praw krakowskiego uniwersytetu" i żądał od nich w sposób natarczywy umieszczenia inseratów w wydać się mającej przez zespół pierwszorzędnych polskich literatów „Jednodniówce w setną rocznicę bitwy pod Grunwaldem". Miało to być dość obszerne, bogato ilustrowane dziełko, w kilku tysiącach egzemplarzy wydane, a czysty dochód z tegoż miał — wedle uroczystych zapewnień pana „prawnika" — przypaść na „Dar Grunwaldzki". Bardziej opornym lub niedowierzającym przedstawiał „akademik" zgubne skutki nieudzielenia mu inseratu i tak np. pewnej właścicielce nowootwartego pensjonatu w Krakowie zagroził serjo, że jeżeli mu nie udzieli inseratu za 45 kor., akademicy zbojkotują jej pensjonat (?), nie chcącym zaś zgóry płacić za inseraty, lub odwlekającym udzielenie inseratu, przedstawiał „apostoł grunwaldzki", że „bis dat, qui cito dat!" W imię zatem dobra narodowego, walki z hakatą, jedni — a w imię już świętego spokoju przed „bojkotem" i natręctwem pana „prawnika", drudzy dawali inseraty, płacąc — jako na „Dar grunwaldzki" — przedstawione im wysokie ceny.

„Jednodniówka" opuściła prasę zamiast w obiecywanych kilku tysiącach, w pięciuset egzemplarzach, zapełniona na 6 stronach lichem piśmidłem jakiegoś laika, a na 6 stronach inseratami firm — drogo zapłaconymi. Zaznaczyć tu należy, że wedle dokładnych informacji wydawcą „Jednodniówki" nie jest Jan Halibożek, chociaż na niej figuruje jako nakładca. Uczciwego nazwiska zecera Halibożka użył ów pan „prawnik" za płaszczyk dla swych operacji.

Dotąd nie tylko, że „Dar Grunwaldzki" nie wzbogacił się dochodem z „Jednodniówki", ale nadto różne indywidua sprzedają w domach prywatnych nieliczne te egzemplarze po 1 K i więcej za egzemplarz rzekomo na „Dar Grunwaldzki". Podziwiać tu zaiste należy spokój, z jakim oszuści operują, ale bardziej zadziwiającą jest łatwowierność naszej publiczności.

Po nieudałej ucieczce więźniów. Najważniejszą zapewne rzeczą w śledztwie prowadzonem obecnie jest wyjaśnienie okoliczności, kto i w jaki sposób dostarczył więźniom piłek angielskich. Że w piłki te byli zaopatrzeni — to nie ulega wątpliwości, chociaż Łata stanowczo zaprzecza, jakoby miał taką piłkę. Opowiada, że przed kilku tygodniami wyszedłszy na spacer na podwórze znalazł w śmieciach kawałek blachy żelaznej, z której zrobił piłkę i za pomocą niej przepiłował kraty. Wobec tych twierdzeń sąd zasięgnął opinji rzeczoznawców, którzy stanowczo zaprzeczyli, by $2^1/_2$ centymetra grube kraty można było przepiłować piłką żelazną. Takiego przepiłowania dokonać można tylko piłką stalową. Piłowanie to musiało trwać bardzo długo, jednakże nikt tego nie spostrzegł, ponieważ wszelkie ślady natychmiast zalepiali chlebem i zacierali sadzami. Ten szczegół świadczyłby, że więźniowie komunikowali się z osobami znajdującemi się poza murami więzienia. Osoby te rzuciły zapewne na podwórze więzienne w sposób umówiony piłki angielskie. które Łata zabrał podczas spaceru. Bardzo możliwem tedy jest, że Łata i towarzysze mają w Krakowie przyjaciół, którym zależy na oswobodzeniu ich.

Oszukańczy robotnicy. Na żądanie p. Rosego, właściciela restauracji w Rynku Głównym w pobliżu kościoła Marjackiego aresztowała policja krakowska dwóch robotników u niego zatrudnionych: Franciszka Łabędzia i Władysława Słowika, którzy od dłuższego czasu uprawiali na szkodę chlebodawcy kradzież win, wódek, wędlin i t. d. P. Rose ocenia swą szkodę na 2.000 koron.

Repertuar Opery i Operetki lwowskiej.

W środę „Madame Butterfly", opera w 3 aktach Pucciniego.

Czwartek „Manewry jesienne" po raz 1-szy. (Ein Herbstmanöwer) operetka w 3 aktach Karola Bakonyj, przekład Adolfa Kitschmana, muzyka Imre Kalmana.

Piątek: „Manewry jesienne".

Sobota: „Manewry jesienne".

Niedziela: po południu o $3^1/_2$ na dochód członków orkiestry teatru lwowskiego „Księżniczka dolarów", operetka w 3 aktach Leona Falla.

Niedziela: wieczorem o godz. 8 „Madame Butterfly" opera w 3 aktach Puccini'ego, występ Ireny Sołłohub i T. Łowczyńskiego.

Poniedziałek: „Manewry jesienne" operetka w 3 aktach Karola Bakonyi, muzyka Imre Kalmana, przekład A. Kitschmana.

Wtorek: na przyjęcie gości czeskich: rozpocznie Hymn „Kde domov moj", następnie „Halka" opera narodowa w 4 aktach Stan. Moniuszki. Występ I. Sołłohub i Tadeusza Łowczyńskiego.

Środa: „Manewry jesienne".

Co spowodowało wybuch rewolucji w Barcelonie?

Jaki był początek wybuchu rewolucji w Barcelonie, co wywołało powstanie — dotychczas nie zostało wyjaśnionem. W całym kraju było silne wrzenie z powodu wojny z Maurami, nigdzie jednakowoż rewolucja nie przyjęła takich rozmiarów, jak w Barcelonie.

Jak opowiada korespondent angielskiego dziennika „Daily Mail", bezpośrednią przyczyną rewolucji w Barcelonie było rozstrzelanie na mocy sądu doraźnego, 9 żołnierzy za bunt.

Wiadomość o tych egzekucjach wywołała ogromne rozgoryczenie i spowodowała zawieszenie pracy w kilku fabrykach, oraz zamordowanie kilku dyrektorów fabryk. W poniedziałek ubiegły o godzinie 11 strajkujący robotnicy udali się do fabryk, w których jeszcze pracowano i wezwali tamtejszych robotników, by przyłączyli się do strajku generalnego. Wojsko zrobiło wtedy użytek z broni, a liczba zabitych i rannych była odrazu znaczna. Wieczorem rewolucjoniści podpalili kilka klasztorów. We wtorek władze ogłosiły, że wojsko będzie strzelało do każdego, kto po godzinie 6-tej wieczorem zjawi się na ulicach. To dało hasło do stawiania barykad na różnych placach i ulicach. Robotnicy podpalili kilka klasztorów i fabryk, oraz 26 domów. Konnica strzelała ciągle do tłumu, tak, że liczba poległych jest ogromna. Zwłoki żołnierzy i rewolucjonistów leżały przez dni kilka na ulicach.

Kapitan jednego okrętu, który w tych dniach przybył do Genui, takie znów opowiada szczegóły wybuchu rewolucji w Barcelonie:

„Nad ranem 26 lipca ludzie moi mieli ładować na okręt 1500 worków pszenicy, celem przewiezienia ich do Argentyny. Ale robotnicy nie przybyli. Nagle zobaczyłem, jak ogromny tłum robotników, z kobietami i dziećmi na czele obsadził tor, prowadzący do portu. Wkrótce dowiedziałem się, że chcieli oni w ten sposób uniemożliwić przystęp do okrętu „Buenos Aires", na którym miano wysłać żołnierzy i amunicję do Melilli. Tłum obrzucił wojsko kamieniami. Kobiety i dzieci zastąpiły drogę żołnierzom, mężczyźni wybudowali równocześnie barykady. Dopiero później rozpoczęło wojsko strzelać do tłumów".

Pewien socjalista, który jako delegat przybył z Barcelony do Paryża, by tam urządzić demonstrację na rzecz socjalistów hiszpańskich, w rozmowie z jednym z dziennikarzy dał objaśnienia następujące:

„Ogłoszone dotąd wiadomości nie dają właści-

wego obrazu tragicznych wypadków w Barcelonie. Socjaliści przygotowali demonstracje zaraz na początku akcji w Marokku. Chcieliśmy działać środkami pokojowymi, ale gwałty policji zmusiły nas do taktyki odwrotnej. W ubiegłym tygodniu wtargnęła policja do stowarzyszeń i prywatnych mieszkań rewolucjonistów, zabrała listy i druki, a mieszkania splądrowała. W ciągu jednej nocy uwięziono 200 osób. Kneblowano opornych, przyczem 10 socjalistów udusiło się.

Wobec nadużyć policji postanowiliśmy przejść do czynu. Wysłannicy nasi nocą szli od miasta do miasta, głosząc strajk powszechny. Nawet rząd nie przeczy, że akcja nasza powiodła się. W Barcelonie zamarło wszelkie życie. W odpowiedzi na to policja urządziła rzeź. Wielu moich towarzyszy po prostu zabito w mieszkaniach, resztę wtrącono do więzienia. Policja wtargnęła również do naszych stowarzyszeń, gdzie zraniła 35 osób. Na wojsko rząd niezupełnie liczyć może. Gdy kapitan kazał kompanji rozpędzić nasze zgromadzenie pod gołem niebem, ani jeden żołnierz się nie ruszył. Pewien kapral zawołał do kapitana: „Zastrzelę cię, jak psa“! I rzeczywiście strzelił, ale chybił. Następnie przeszedł na naszą stronę“.

Wojna w Marokko.

Napad na fort.

Melilla. (Urzęd.) Oddział Maurów onegdaj w nocy napadł na budujący się fort. Oddział hiszpańskich żołnierzy rozproszył Maurów, przyczem 1 oficer zginął, a 14 żołnierzy odniosło rany.

Melilla. Hiszpańska kanonierka zaatakowała koło Penon barkę, na której znajdowało się 50 Maurów. 20 z nich się poddało, reszta rzuciła się do morza, przyczem 5 z nich zatonęło. Zajście to wywołało wśród Maurów wielkie wzburzenie.

Ruch rewolucyjny w Hiszpanji.

Cerbere. Z Barcelony donoszą: Łódź kanonierska Tamararis z wielu więźniami przybyła tu. Ludność zachowuje się spokojnie, żąda jednak ustawicznie wypuszczenia na wolność uwięzionych. Prawie we wszystkich fabrykach odbywa się praca. Ulice i ratusz ciągle jeszcze otoczone są wojskiem. Przybywa sporo podróżnych pociągami. W Sabavell i Mataro panuje spokój.

Barcelona. Miasto przybrało normalny wygląd. Ruch kolejowy przywrócono. Ze znajdujących się na pokładzie kanonierki Temeraris więźniów kilku wypuszczono na wolność. Rada miasta powzięła rezolucję piętnującą podżegaczy do do niepokojów. W Manresa podpalono trzy kościoły. Przyszło do starcia między wojskiem a podpalaczami, przyczem jedna osoba została zabita a kilka rannych. Porządek przywrócono.

Barcelona. Porządek został ostatecznie przywrócony. Wszędzie znowu podjęto pracę. Także służba okrętowa funkcjonuje już normalnie.

Spokój w Barcelonie.

Cerbere. Kolej funkcjonuje już zupełnie normalnie. Jak z wiarygodnego źródła donoszą, w Barcelonie nastał już zupełny spokój.

W urzędowem zestawieniu strat wojska, nie są wliczone straty gwardji obywatelskiej, w której również byli zabici i ranni.

Madryt. Dzienniki ogłaszają szczegóły o Barcelonie, o paleniu klasztorów i kościołów i krwawych starciach między wojskiem a powstańcami. Sprawozdania twierdzą, że dyscyplina wojska była bez zarzutu i że żaden z żołnierzy nie wahał się strzelać(?) Sprawozdania podają liczbę zabitych na 90 rannych na 200. Doniesienia o Barcelonie robią bolesne wrażenie i stwierdzają, jak bardzo ruch się rozwinął i jakiej potrzeba było energji rządu, aby porządek przywrócić.

TELEGRAMY

„Gazety Powszechnej“.

Zatarg o Kretę.

Salonika. Jak słychać, uchwalono na wczorajszem posiedzeniu komitetu młodotureckiego, aby **na wypadek, gdyby w ciągu 8 dni sprawa kreteńska nie została w sposób zadowalniający rozwiązaną, utworzyć armję narodową dla wmaszerowania do Tessalji.**

Konstantynopol. Dzienniki ogłaszają pismo Seik ul Islama do Mahometan na Krecie, w którem zwracając uwagę na zapewnienie mocarstw, odradza Mahometanom emigrację z wyspy.

Salonika. Usposobienie w sprawie kreteńskiej jest bardzo wzburzone. Komitet młodoturecki odbył specjalne posiedzenie w tej sprawie. Postanowiono na sobotę zwołać monstrmeeting. Dzienniki tureckie zarzucają wielkiemu wezyrowi brak energji i wzywają go, aby **wreszcie przeszedł do czynu.**

Przygotowania Turcji do wojny.

Salonika. Minister wojny zarządził przygotowania dla powołania rezerwistów 50 bataljonów II korpusu.

Nota Turcji.

Konstantynopol. Porta prawdopodobnie dziś jeszcze wystosuje notę do Aten, w której wskazując na zapewnienia przyjaźni rządu greckiego, oświadczy, że i jej życzeniem jest utrzymanie dobrych stosunków i **zażąda odwołania z Krety greckich oficerów i usunięcia stamtąd greckich marek pocztowych.**

Budżet w Turcji.

Konstantynopol. Izba deput. prowadzi dalszą dyskusję budżetową, która ma chwilowo przebieg burzliwy. Wielki wezyr domagał się wpisania z powrotem kilku kredytów i postawił kwestję gabinetową. Sprawę odesłano do komisji.

Podróże cara.

Coves. Dzień wczorajszy był poświęcony wyścigom jachtów, przyczem byli obecni car i król.

Coves. Wczoraj wieczorem na jachcie cesarskim „Sztandarcie“ odbył się obiad galowy, podczas którego nie wygłaszano mów.

Wynurzenia Izwolskiego.

Coves. Rosyjski minister spraw zagranicznych Izwolski wskazał wobec jednego z sprawozdawców na podniosły rezultat przyjaźni obu domów panujących i obu krajów, która jest jedną z najsilniejszych poręk pokoju w Europie i poza Europą. Zwłaszcza Persja jest przykładem korzyści ententy. Rosja zamierza wojska swe z Persji natychmiast wycofać, skoro tylko porządek będzie trwale przywrócony, tj. skoro zamianowane organy porządku publicznego rozpoczną swą działalność, a więc gdy w Tebris, Teheranie i Kaswin obejmą administrację ludzie, którzy będą w stanie utrzymać w porządku niespokojne żywioły.

Izwolski wyraził swe nadzwyczajne zadowolenie z rozmowy z Greyem i wyraził nadzieję, że trudności w sprawie Krety zostaną ku zadowoleniu wszystkich interesowanych w pokojowej drodze załagodzone.

Polityka zagraniczna Francji.

Paryż. Na wczorajszem posiedzeniu Rady ministrów prezydent Fallières stwierdził, że w swych konferencjach z carem skonstatowano zupełne porozumienie między Francją i Rosją, jakoteż, że sojusz obu państw przyczynia się do wzmocnienia pokoju.

Minister spraw zagr. Pichon również stwierdził, że w konferencjach z ministrem Izwolskim objawiło się zupełne porozumienie we wszystkich sprawach międzynarodowych. Minister doniósł dalej o uspokojeniu się w Hiszpanji. Co do Krety toczą się jeszcze rokowania celem utrzymania na wyspie status quo.

Tureccy oficerowie w Zofji.

Konstantynopol. Deputacja tureckich oficerów uda się 15 bm. jako w dniu rocznicy wstąpienia na tron króla Ferdynanda bułgarskiego do Zofji.

Strejk generalny w Szwecji.

Sztokholm. Związek zawodowy robotników telefonicznych jednomyślnie uchwalił przyłączyć się do strejku generalnego. W strejku wezmą też udział niektóre kategorje urzędników telefonicznych. Jak donosi »Dagen« robotnicy gminnej elektrowni przyłączyli się do strejku.

Trzęsienie ziemi w Kalabrji.

Brancaleone. (Kalabrja). Wczoraj o godz. 7 m. 15 rano dało się tu czuć dość silne trzęsienie ziemi, które wśród mieszkańców wywołało panikę.

Cholera w Rosji.

Petersburg. Od wczoraj wydarzyło się 31 nowych wypadków cholery. Ogólna liczba chorych wynosi 519. Miasta Rygę i Witebsk, oraz gubernję kowieńską uznano za zagrożone przez cholerę.

Cholera w Kalkucie.

Kalkuta. Wśród zakonnic tutejszego szpitala wybuchła cholera. 6 zakonnic i 4 chorych Europejczyków zmarło.

Pruska katownia dzieci.

Socjaliści niemieccy w Berlinie przy pomocy swego organu wyciągnęli na światło dzienne ohydne zbrodnie, jakich dokonywano w pruskich zakładach wychowawczych, urządzonych przez rząd pruski w różnych okolicach dla nieletnich przestępców i dzieci, żyjących bez opieki. W domach takich opiekę nad nieletniemi powierzono urzędnikom protestanckim a jeden z takich zakładów znajduje się w Wielkiem Księstwie Poznańskiem w Mielżynie.

Dyrektorem zakładu w Mielżynie jest pastor Breithaupt, a pomocnikiem jego, inspektor Engels.

Zakład mielżyński istnieje dopiero od kilku miesięcy, a już prasa berlińska doniosła o nadużyciach i o systematycznem katowaniu wychowańców. Sprawa stała się głośną, a że w zakładzie mieszczą się przeważnie dzieci, pozbierane z bruku berlińskiego, przeto magistrat berliński wysłał komisję, która miała zbadać, o ile zarzuty i fakty, podane w prasie, są prawdziwe. Członkowie komisji powrócili po paru dniach dochodzeń, a referat ich stwierdza, że wszystko, co opowiadano o dręczeniu wychowanków, jest prawdą, że zwłaszcza zarząd zakładu nadużywał przysługującego mu prawa stosowania kar cielesnych. Ogłaszany protokół komisji wykazał słuszność zarzutów, podniesionych w prasie przeciw brutalnym wychowawcom. Oto okazało się, że pastor Breithaupt zazwyczaj własnoręcznie „wydzielał“ swym wychowankom 50 razów, inspektor zaś dochodził do 100. Katowano batem, zakończonym gumowemi gałkami. Personal ochronki zwrócił uwagę na to dopiero wówczas, gdy któryś z wychowanków rozpłakał się zbyt głośno. Jeśli który katowany uciekał, zastępowano mu drogę i bito go z przodu.

W zakładzie było kilku epileptyków: jeden z nich, Schwarzenberg, podczas kaźni wybił głową szybę w oknie, za to spotkała go potrójna kara: batem, nahajką i kijem. Kara zazwyczaj wymierzaną była z najbłahszych powodów; np. jeden z uczniów otrzymał 25 razów za to, że ukrył swoją torebkę ze śniadaniem, inny za to, że palił papierosa. Epileptykowi Schwarzenbergowi inspektor zagroził rewolwerem. Kilku wychowanków wrzucono pewnego razu do lochu. Używano również chińskich tortur t, j. bicia kijem po piętach.

Jedno z dzieci zeznało przed komisją śledczą, iż w przeciągu 2—3 miesięcy swego pobytu w katowni otrzymało 666 uderzeń pałką i batem!!

Wszystkie szczegóły obchodzenia się z dziećmi stwarzają nader smutny obraz „dyscyplinarnego“ wychowania. Dokonane przez komisję oględziny dwunastu dzieci wykazały ślady pobicia rozmaitemi narzędziami.

Wyniki rewizji, komisarz rządowy, również jak i delegat towarzystwa berlińskiego przesłali w specjalnym protokole do władzy prokuratorskiej, aby pociągnąć do opowiedzialności karnej pastora Breithaupta i jego pomocnika.

Pastor twierdzi, oczywiście, że wszystkie te wiadomości są przesadzone, że nawet rewizorowie rządowi są w błędzie, gdyż zeznania uczniów, nie rozwiniętych umysłowo, były zmyślone i kłamliwe. Nie przeczy, że „chłopców niesfornych karcił“, ale utrzymuje, iż postępować inaczej nie mógł, bo oddani mu na wychowanie chłopcy, to najgorsze szumowiny, berlińskiego bruku. Kijami i batami zamierza ich wychować „na podporę niemczyzny na kresach wschodnich“, skoro później, jako koloniści zostaną tam osiedleni.

Widocznie mają to być jakieś kolonje karne, gdzie wszystkie wyrzutki społeczeństwa całych Niemiec zgromadzone zostaną, aby nieść pośród Polaków wyższą kulturę i cywilizację. Kolonizacja niemiecka w dzielnicach polskich na coraz osobliwsze wchodzi drogi.

Obecnie komisja berlińska zastanawia się nad tem, co zrobić z 66 wychowańcami ochronki zakładu mielżyńskiego. Odpowiedź na to pytanie jest tem trudniejsza, że i w innych zakładach katowanie dzieci jest na porządku dziennym.

Górą kultura pruska!

Jedna noc dziennikarza w spelunce krakowskiej.

Nędzarze — złodzieje — nierządnice!

„Charbatka z romem“ — Nędza i pijaństwo — Pan „mecenas“ Berkasik-pańciu — Szulerzy — Sypialnia pierwszej i drugiej klasy — Galerja nędzarzy: Tragarz uliczny, Emerytowany student, Mąż polityczny, Pielgrzymi — Strzemiennego... do poduszki! — Noc — Bosy przekupień zapałek — Pan profesor — „Wdowa z Niepołomic“ — Rajfurstwo — Złodziej!

(Dokończenie).

Galerja nędzarzy.

Teraz dopiero rozglądam się po postaciach moich „szlafkamratów“. W samym kącie, widocznie już oddawna przez siebie okupowanym rozkłada się jakiś tragarz uliczny, obwiązany grubym sznurem — starowina już niemal, przygarbiony wiekiem i brzemieniem ciężarów, których tyle się codziennie nadźwiga na tych swoich biednych plecach. Kto wie, jaka tam może być tragedja poza tym człowiekiem, skoro go aż tu los zagnał na stare lata...

Ktoś mu jednak widocznie dziś zajął kawałek jego miejsca, skoro biedzi się napróżno staruszek, by tego bezpłatnego swego sublokatora, rozwalonego w głębokim śnie na jego ławce, obudzić i przeprowadzić gdzieindziej.

— Panie student, a zbudźże się do cholery ciężkiej!

Z ławy podnosi się jakaś strzecha włosów, a pod nią zaspana twarz młodzieniaszka, ubranego w wytarty mundurek gimnazjalisty, ale bez pasków. Oczy, na pół sklejone jeszcze snem, nie rozpoznają sąsiadów, a z ust wydobywa się nieśmiałe zapytanie:

— Panie gospodarzu, możeby tak można jeszcze co wstrzyknąć?...

— A co? „charbatkę z romem«?

— Wolałbym z bułką.

— A centy, centy?

— Gdzieś tu są — odpowiada przychodzący nareszcie do siebie młodzieniec i po długich szukaniach we wszystkich kieszeniach, znajduje sakramentalnych pięć centów, za które w tym lokalu można mieć „charbatkę z romem“ lub „charbatkę z bułką“.

Cierpliwość moja, zbyt długo wystawiona na próbę, wybucha teraz zapytaniem do »mecenasa«: Co to za student?

— Emerytowany, pańciu, emerytowany. Na psy zeszedł. A wszystko przez matkę, psiabestja Niemkę. Kłuło ją, pańciu, w oczy, że chłopak patrjota, że się rwie do rewolucji i z domu go wyżarła. Ojciec, pańciu, niedołęga, daje się babie za nos wodzić i chłopcu złamanego grosza nie rzuci. A to biedactwo niema się ani w co ubrać, ani za co książek kupić — to i szkołę, pańciu, porzucił. Jeść nie ma co, spać nie ma gdzie — powietrzem żyje. Co on mi tu, pańciu, nie naopowiadał! gdzie nie spał! nawet w wagonach kolejowych, ale go stamtąd wyciągali. Czasem gdzie jaką szóstkę, pańciu, wyrwie, to się tu do nas na noc przywlecze...

Ot, i druga tragedja — pomyślałem sobie — złamane życie.

A tymczasem koło nas zaczynano się już naprawdę zabierać do spania. Tuż obok tragarza i studenta rozlokowała się cała kalwakata kobiet starszych i młodych dziewcząt z Królestwa, pielgrzymujących na Kalwarję. Noc im wypadła w Krakowie i tu ją za tanie pieniądze przepędzają. Za niemi układa się do snu jakiś obdarty wyrostek, którego ponury wzrok i wogóle cała fizjognomja zdradza dobrą znajomość z bezpłatnym hotelem policyjnym „pod telegrafem“.

— O, pańciu, to mąż polityczny — pośpiesza mię objaśnić „mecenas“, widząc, że się tamtemu bardzo przyglądam. — Jego życie, to polityka i wybory. Teraz, pańciu, posmutniał, bo od paru lat niema żadnych wyborów, ani do Wiednia, ani do magistratu, ani nigdzie — to musi ino tablice po A—B nosić. Ale niech se pan, pańciu, nie myśli, że to kto bądź, co go pzekupić można! Jak raz się uczepi tablicy ze swoim kandydatem, to jej zostanie wierny aż do wyborów i wali innych andrów, co noszą przeciwników jego politycznych na tabl cach.

Raz nawet przyskrzynili go za to „pod telegraf“, wziął ze sobą, pańciu, tablicę i tam agitował, tylko, że obywatele-wyborcy zapóźno powychodzili na wolę i już było po wyborach!

Jeszcze paru chłopców z dalszych widocznie okolic, bo stroje nietutejsze, układa się do snu na gołej podłodze i wydaje mi się, że niebawem powinna już cisza zapanować nad tym wspólnym barłogiem nędzarzy.

Strzemiennego do poduszki.

Ale pan „mecenas“ nie wypuszcza mię ze swej opieki:

— A pan, pańciu, tak nic do poduszeczki?... Strzemiennego.

— Ależ, owszem, owszem. Proszę bardzo.

I walimy do pierwszego pokoju, gdzie już rodzina gospodarza kończy porządkować. Na dyspozycję »mecenasa« zjawiają się przed nami dwa potężne kielichy jakiegoś alkoholu, nabełtanego aż z trzech flaszek. „Mecenas“ sprawia się z tem w mig, a widząc, że mi ta osobliwa mieszanina jakoś przez gardło przejść nie może, zaczyna mi tłumaczyć:

— Widzi pan, pańciu, to jest mój wynalazek: żołądkówka na sen i z perfumą. Człowiek się tyle, pańciu, przez dzień nasłucha ludzkich krzywd, żeby mu potem po nocy wszystko się do góry nogami, pańciu, powywracało. Trzeba zaaplikować na sen i coś żołądkowego. A perfuma jest na to, żeby miło było zasypiać... Cały taki bal kosztuje raptem pięć centów. Mój wynalazek.

A no — myślę sobie — niech i mnie będzie miło zasypiać, przełykam jakoś tę medycynę, płacę i wreszcie, wreszcie idę spać. Jedno mię tylko jeszcze zastanawia, dlaczego wszyscy mamy się tu cisnąć, skoro w głębi, przez drzwi odchylone, widzę jeszcze jakiś pokoik, nawet z kanapką.

— To pańciu — wyjaśnia mi »mecenas« — separatka, jak się trafi jakieś małżeństwo, lub coś podobnego...

— Aha, rozumiem, lub coś podobnego...! — odpowiadam i w myśli sobie dośpiewuję, że i takim zarobkiem ta nora nie gardzi...

Idziemy »na pierwszą klasę«, wąsko, bo wąsko, pod głowę niema co podłożyć, chyba kułak, ale zawsze lepiej, niż na gołej desce. Kładziemy się wedle instrukcji „mecenasa«: głowami do siebie, układam się umyślnie twarzą na pokój, by módz dalej obserwować, o ile mię sen nie zmorzy — cisza zalega izbę, a za chwilę rozpoczyna się w najlepsze prawdziwy koncert chrapania, sapania i świstania, wydobywającego się z tylu różnorodnych piersi.

Noc...

Ludzie ciężkiej pracy fizycznej i zmordowani drogą w kamienny już popadli w sen — a ja, choć dnia także nie przeleniuchowałem, zasnąć ani rusz nie mogę, taksamo i mój towarzysz, »z za głowy«, także pracujący umysłowo, widocznie się jednak zbytnio nie sforsował dzisiaj, a na krzywdy ludzkie nie pomogła nawet żołądkówka na sen z perfumą...

Rozczula mię ta jego serdeczność, ale nic już nie mówię, bo chcę zasnąć — nic się już przecież w nocy tu stać nie może.

W tem w pierwszym pokoju słyszę jakieś podniesione głosy. Nadsłuchuję. Tak, to gospodarz wyrzuca za drzwi jakiegoś nędzarza, który nie ma za co opłacić nawet »drugiej klasy“. Zrywam się i podchodzę pod drzwi. Dziennikarz musi nieraz podsłuchiwać, byle w dobrej sprawie — a tu widzę, że bez mojej interwencji się nie obejdzie.

Mały uliczny przekupień zapałek, bosy, bez koszuli z gołą szyją, w podartym jakimś surduciku i krótiótkich po kolana spodeńkach — nie zarobił dziś tyle, żeby mógł sobie opłacić nocleg. Nie był tu już parę dni. Spał u ciotki, której oddawał cały zarobek, dziś gdy prawie nic nie przyniósł, wypędziła go z domu. Panowie nie chcą teraz zapałek kupować na ulicy, każdy ma pudełko w kieszeni. Wczoraj także go ciotka nie przyjęła na noc, spał na plantach, ale nad ranem strasznie zmarzł. Gdzież się teraz podzieje?

Zapłaciłem za niego nocleg „drugiej klasy“ i byłbym mu chętnie zafundował jeszcze herbatę, ale już jej nie było, kupiłem więc mu tylko bułkę i kawał kiełbasy. Jak wierny pies patrzał mi w oczy i z tem wdzięcznem spojrzeniem w moją stronę ułożył się do snu.

Znowu dłuższa chwila spokoju. Teraz już sam bronię się przed zaśnięciem, bo widzę, że z godziną policyjną nie skończyła się tu bynajmniej godzina przyjęć na noc. Niebawem znowu ciche skrzypnięcie drzwi, wychodzących na ulicę. Do naszej »sypialni« wsuwa się niepewnym krokiem jakaś postać, której oblicza w ciemności rozpoznać nie mogę i rzuca się wprost na wolne miejsce „pierwszej klasy«.

— Czy to mecenas? — słyszę za chwilę stamtąd jakiś znany mi skądś głos.

— Ja, pańciu, ja, tylko poco mnie profesor tak wali kopytami?!

— Bom kontent mecenasie, żem zastał was przy zdrowiu.

Teraz dopiero po głosie poznaję, co to za »gość«. A więc i on tu. Boże! co za ironja losu! Zdolny pracownik naukowy, przez wódkę stracił posadę i dziś jest najpospolitszym domokrążcą literackim, a przytem nałogowcem pierwszej klasy. Mój dobry znajomy z czasów uniwersyteckich. Żeby mnie choć nie poznał! Nie odezwę się ani słówkiem — będę udawał śpiącego, a rano wymknę się, zanim on wstanie. Zresztą i tak długo będzie spał, bo urżnięty dziś znowu dokumentnie. Przed kilku godzinami był u mnie w redakcji i właśnie zaczyna opowiadać »mecenasowi«:

— Już bylibyście mi musieli dziś zborgować pierwszą klasę, gdyby nie ten durny redaktor (dziękuję za komplement!) Alem się półtora dnia naczekał na te marne trzy korony. Przynoszę mu artykuł, tak ze dwieście wierszy, a ten idjota mówi, że wszystko to już było. To nic. Nie chciał on nic ze mną gadać, gadali inni, jeden zapłacił kawę i tyle było na cały dzień wczorajszy. Przespałem się w poczekalni trzeciej klasy. Rano walę znowu do redakcji. Jakem zaczął mu dziurę w brzuchu wiercić, tak dał mi 3 korony, żeby się mnie pozbyć i artykuł oddał. Nic nie szkodzi, przyjęli w »Głosie Narodu«, tam wszystko idzie.

— A trzy korunki, pańciu, gdzie?

— W brzuszku, mecenasie i tam dalej. Zostało tylko na pierwszą klasę. Alem sobie choć zjadł i popił. O, popił! No, dobranoc!

Znowu cisza. Mój profesor widocznie tu nie pierwszy raz szuka przytułku. To także zmarnowana jednostka, z której społeczeństwo mogło mieć duży pożytek, a teraz ma ciężar tylko.

Znowu się uspokoiło — ale nie na długo. Wprawdzie cicho skrzypnęły drzwi od ulicy, ale ten ktoś, co niemi wszedł, w cudownym był humorze, bo aż gospodarz musiał nawoływać do spokoju. Zerwaliśmy się nagle wszyscy, gdy do uszu naszych doszła wyuzdana śpiewka, zaryta wprost pijackim głosem kobiecym:

»Jestem sobie wdowa piekna,
Nie jednegom już urzekła,
Com jest wdowa — tom jest wdowa,
Dla każdego jest gotowa!«

I równocześnie wtoczyła się do naszej izby kobieta z mieszczańska ubrana, lat powyżej czterdziestu, nie szpetna jeszcze, tylko strasznie zniszczona, z torbą ceratową na ręku.

— Kto to taki? — trącam »mecenasa«.

— A, pańciu, pan jej nie zna? Prawda, pan nie tutejszy. To jest

wdowa z Niepołomic

chociaż ona nigdy w Niepołomicach nie była, ale kogo zaczepi wieczorem na ulicy, to zawsze mówi, że przyjechała tu, pańciu za interesami, spóźniła pociąg i teraz niema gdzie spać. To się niejeden pańciu, kawaler ulituje i babinkę u siebie przytuli...

— Aha, to taka...

— No, matka, idźcie spać spokojnie! — mityguje ją gospodarz.

— Idę już, idę. Nawet nie można się biednej wdowie sierocie trochę poweselić, gdy miała dobry dzień. A jakiego ładnego miałam chłopczyka, mecenasie! Mliczak jeszcze. Na plantach my się spotkali, pokochali i korona jest i nikiel też jest. O, niech mecenas zobaczy.

I zabłysnęła nam przed oczyma niklowym zegarkiem, skradzionym jakiemuś młodzieńcowi, który wdał się nieopatrznie z tą nierządnicą.

Wreszcie i ona uspokoiła się. Znów chrapanie na różne tony. Po chwili z półdrzemki budzi mię trzask pocieranego o pudełko zapałka. To nasza »wdowa z Niepołomic“ ćmi sobie papierosa, a resztką zapałki wodzi koło twarzy dziewcząt, pielgrzymujących na Kalwarję. Czaję się i czekam, co to będzie. Nareszcie wybrała najroślejszą z pośród nich, tęgą, rumianą, podsuwa się do niej i budzi ją pomalutku:

— Dziewucha! wstańno! Zbierz się i chodź! Pójdziemy na zabawę. Tyle ładnych chłopców się pozbiera po drodze — a na plantach tak ładnie. Głupiabyś była Panu Bogu się naprzykrzać. A tak i koronki są i nikiel czasem się uda i coś większego. Chodź!

Oburzenie mię zdjęło na tak namacalny dowód rajfurstwa i już chciałem narobić sam z tego powodu hałasu, gdy w tem wybuchła gniewem jedna ze starszych kobiet, która jeszcze po śpiewce „wdowy z Niepołomic« nie mogła zasnąć i teraz wysłuchała całej tej namowy.

Wszczęła się awantura szalona. »Wdowa» nie dała sobie w kaszę napluć, wyzwiska latały, jak gromy, omal, że do bójki nie przyszło — skończyło się jakoś na tem, że »wdowę« od dziewcząt z Królestwa przedzielono „mężem politycznym“, który mając w ciągu nocy do wyboru przyjemne i pożyteczne, wybrał to drugie i... skradł »wdowie« niklowy zegarek, ulatniając się z nim, jak tylko świt nastał.

O kradzieży tej dowiedziało się »towarzystwo“ całe dopiero rano, gdy „wdowa« raczyła przetrzeć oczy i »szukała godziny».

Mnie jakoś nic nie zginęło — skończyło się na pełnej niezwykłych wrażeń nocy, po której jednak smutne zostały refleksje.

Ile tam jeszcze zbrodni wylęgło się, dotychczas nie wykrytych? Ilu złoczyńców w tę noc właśnie było »przy robocie“ i nie mogli widokiem swoim nacieszyć mojego oblicza?!

A ile nędzy okropnej błogosławi przecież tę norę, która za dziesięć centów daje jej dach nad głową?!

Więc zamknąć tę budę i nędzarzy pozbawić jedynego może przytułku?...

Wielcy »reformatorzy społeczeństw, pomyślcie i o tej piękącej ranie społecznej!

Tajemnica automatu grającego w szachy.

Gdy Napoleon w r. 1806 wjechał do Berlina, rozkazał, by pokazano mu słynny automat, grający w szachy, który skonstruował węgierski radca finansowy de Kempelen. Automat przedstawiał Turka naturalnej wielkości, którego prawa ręka spoczywała ne skrzynce. Turek siedział na krześle, przed nim zaś znajdowała się szachownica, na której Turek mógł grać w szachy z każdym amatorem.

Podczas przedstawienia aparat otwierano na chwilę, by pokazać, że wewnątrz niema nikogo. Turek mając robić posunięcie, wyciągał rękę i zdawał się zamyślać. Gdy przeciwnik jego zagrał nieostrożnie, wówczas Turek wstrząsał głową; gdy grał zbyt niedołężnie, wówczas zniecierpliwiony Turek zrzucał z szachownicy wszystkie figury.

Kempelen objechał z automatem całą Europę, wreszcie Fryderyk Wielki zakupił Turka szachistę, lecz po kupieniu go przestał się nim zajmować.

Gdy Napolen zapragnął zobaczyć słynny ten automat, znaleziono go gdzieś na strychu pałacu królewskiego. Zegarmistrz Maebrel naprawił automat i zaczęła się nowa dlań era sławy.

Edgar Poe poświęcił automatowi nowe studjum, w którem usiłował rozwiązać jego tajemnicę.

Dziś wiadomo już, że było to zwykłe oszustwo. W skrzynce automatu mianowicie znajdował się człowiek, który grał za Turka, obserwując grę w odpowiednio ustawionem zwierciadle.

Pewnego razu zdarzyło się, że jakiś zawistny mechanik podczas produkcji automatu przed szerszą publicznością zawołał „pali się“, skutkiem czego omal nie wyszła na jaw tajemnica, gdyż siedzący w automacie człowiek wydobył się ze skrzynki i zaczął uciekać. Ponieważ jednakż i cała publiczność tłoczyła się do wyjść, nie patrząc wcale na scenę, przeto nie uważała, co na niej się działo.

Automat zawędrował aż do Ameryki i tu wreszcie nastąpiło wykrycie tajemnicy.

Licytacja szkieletów.

Osobliwa licytacja odbyła się niedawno w Santjago de Kuba.

Wystawiono tam na sprzedaż wielki zbiór szkieletów, należących do spadku po zmarłym milionerze Domingo y Dominguez. Zbiór ten miał wielką sławę z tego powodu, iż obejmował szczątki sławnych amerykańskich i kubańskich mężów stanu i badaczy.

Autentyczność tych relikwji nie ulegała widać najmniejszej wątpliwości, gdyż w licytacji wzięli udział liczni przedstawiciele muzeów amerykańskich.

Najwyższą cenę — 15.000 dolarów — osiągnął szkielet jenerał-kapitana Martineza Campos, dyktatora Kuby i twórcy gruntownych reform.

Najstarszym przedmiotem licytacji były części czaszki Portugalczyka Cabrala, który odkrył Brazylję. Resztki kości kubańskiego męża stanu i jenerał-kapitana Josego de la Concha darował nabywca uniwersytetowi w Filadelfji. Ogółem licytacja przyniosła przeszło 100.000 dolarów.

Na licytacji znajdowały się 232 kompletne szkielety i przeszło 800 części drobnych. W zbiorze znajdowały się także szkielety przodków zmarłego milionera. Na żądanie spadkobierców wyłączono je z licytacji i pochowano w grobie rodzinnym.

Prócz tego zbioru szkieletów w spadku po milionerze znaleziono jeszcze inne zajmujące relikwie, po większej części bez odpowiednich dokumentów, stwierdzających ich prawdziwość, jak naprzykład: medaljon z włosami Napoleona I, modlitewnik królowej Marji Stuart, laskę pani de Pompadur i inne rzeczy. Przedmioty te nabyli tylko zbieracze prywatni.

Kto pierwszy latał po powietrzu?

Wobec zainteresowania się ogólnego wzlotami Bleriota, braci Wrightów, Farmana i w. in., historycy rozpoczęli poszukiwania w celu wykazania, komu po raz pierwszy udało się wznieść się ponad ziemię — Jak donosi „La vie de Paris“ — okazuje się, że pierwszym latającym człowiekiem był jezuita portugalski Bartholomeo de Gusmao, który po kilku próbach, dokonanych z wynalezionym przez siebie przyrządem wobec członków jezuickiego zakonu, wystąpił w 1720 roku w Lizbonie z doświadczeniem publicznem w obecności króla Jana V i niezliczonych tłumów publiczności.

Przeleciał on znaczną przestrzeń, oddzielającą dwa największe place w Lizbonie i opuścił się na jednym z nich na ziemię bez żadnego szwanku. Nazwano go „Ovoadorem“, czyli człowiekiem latającym, lecz powodzenie to nie tylko nie przyniosło mu tryumfów i zaszczytów, jak Bleriotowi, lecz przeciwnie stało się przyczyną jego zguby.

Inkwizycja oskarżyła go o magję i skazała go na zamknięcie w lochu, więziennym obostrzone surowymi postami. I chociaż, przy pomocy innych jezuitów udało się Gusmaonowi uciec do Sevilli, jednakże wkrótce ze zgryzoty zakończył tam życie w szpitalu i poniósł do grobu tajemnicę swego wynalazku.

Wieści z kraju.

Burza gradowa Biecz (3 bm.). Przygodny nasz korespondent donosi nam: W dniu dzisiejszym nawiedziła Biecz i okolicę straszna burza gradowa. Całe przedpołudnie było pogodne i upał dość znaczny. Nic nie zapowiadało mającej wkrótce nastąpić katastrofy, tylko barometr obniżył się o parę kresek. Nagle około godziny 1-szej na południowym zachodzie ukazały się czarne chmury, które zbliżały się z niebywałą szybkością. Za chwilę zciemniło się zupełnie tak, że potrzeba było w mieszkaniach światło zapalać i zaczął padać grad z początku drobny, za chwilę coraz gwałtowniejszy, dochodzący wielkości małego kurzego jaja, który wnet pokrył białą warstwą pola i ulice miasta, strasznym uderzeniom gradu nie oparły się i szyby grube, toteż kilkaset szyb uległo rozbiciu. Najwięcej ucierpiała stacja kolejowa, sąd, kamienica w rynku, w której mieści się kancelarja adwokata dr Gawła, gdzie nie tylko w mieszkaniu przeszło 20 szyb zostało wybitych, ale także został zniszczony zupełnie dach szklanny umieszczony nad sienią i schodami. Również w mieszkaniu i ogrodzie burmistrza dr Katyńskiego grad wyrządził bardzo znaczne szkody. W tutejszym kościele parafialnym, pamiątkowym ze względu na swe historyczne znaczenie uległo kilka witraży zniszczeniu. W okolicy szkody w polach także znaczne. Na razie nie mogę jeszcze ich rozmiarów podać, gdyż wybiorę się dopiero na oglądanie szkód w polu.

Napad na robotnika. (Wolanka). Dnia 25 u. m. o godzinie 11-tej w nocy szedł sobie do roboty od północy na szychtę robotnik J. M., zamieszkały na Wolance. Idąc na szychtę nie przeczuwał nic złego. Nagle koło szybu firmy berlińskiej „Inflanty“ wypadło 3 rabusiów. I o mało co nie padł ofiarą mordu, bo napastnicy zadali mu kilka dużych ran w głowę i byliby go zamordowali, gdyby ludzie mieszkający naprzeciwko tego miejsca, nie usłyszeli byli wołania o pomoc. Gdy napastnicy zobaczyli biegnących na pomoc ludzi zostawili nieszczęśliwego na drodze, a sami się ulotnili. Nieszczęśliwego odprowadzono na kopalnię, gdzie mu opatrzono rany, a nad ranem stróż nocny z kopalni odprowadził poranionego do domu. Wypadek ten nasuwa pytanie, gdzie się znajduje i co robi policja wolaniecka. Awantury i napady są tu na porządku dziennym a policja tego nie widzi i nie słyszy a w nocy śpi sobie snem sprawiedliwego. Policjantów zobaczysz w dzień kręcących się na trotuarze. Policja nasza jest taka, że jak zobaczy pijanego człowieka, to ucieka od niego, bo się go boi i dlatego także nieporządki się tutaj na Wolance dzieją. Możeby burmistrz Wolanki p. Szpitzman zaglądnął w te sprawy i postarał się o lepszą policję i o większą ilość policjantów a może by także Świetne ck. Starostwo w Drohobyczu także wglądnęło w tę sprawę, ażeby raz zapanował spokój a spokojni obywatele wolni byli od napastników.

Intendantura 10 korpusu w Przemyślu rozpisuje na dzień 23 sierpnia 1909 rozprawę ofertową, celem zakupna większych ilości twardego i miękkiego drzewa opałowego dla wojskowych magazynów prowiantowych w Łańcucie, Rzeszowie, Dębicy, Przemyślu, Gródku Jagiellońskim, Stryju i Samborze. Bliższych informacji zasięgnąć można w Izbie handlowej i przemysłowej w Krakowie.

Mianowania.

„Gazeta Lwowska“ ogłasza: Namiestnik zamianował koncepistów namiestnictwa Feliksa Metzgera i Józefa Dworskiego, komisarzami powiatowymi, a praktykanta konceptowego namiestnictwa Kazimierza Golińskiego, koncepistą namiestnictwa, tego ostatniego *ad personam*.

Nowy Targ.

Z gospodarki gminnej. Gospodarka w naszej gminie szwankuje jakoś na każdym kroku. Gdy bowiem w innych miastach cywilizacja postąpiła już tak daleko, że dla udogodnienia i uprzyjemnienia życia mieszkańcom, zastosowują rozmaite środki kulturalne, u nas dzięki rządom kliki wszechpolskiej, nic a nic w tym kierunku się nie robi. I nie znają tutaj wcale ani skrapiania ulic, ani też beczkowozów, ludziska chodzą w tumanach kurzu, jak święci w obłokach, dusząc się formalnie od prochu i gorąca, a ojcowie miasta dozwalają jeszcze na to, że w tych godzinach, w których ruch na ulicach panuje najbardziej ożywiony odbywa się zawsze i stale dokoła rynku zamiatanie chodników. A policja miejska, pokazująca się na ulicach rzadko tylko kiedy, ani myśli poczynić odpowiednie kroki, aby porządki na chodnikach robiono w tym czasie, kiedy niema jeszcze wielkiego ruchu.

Drugą wielce ważną sprawą, a potrzebującą radykalnego uleczenia, jest chroniczna choroba naszych zegarów. Jakkolwiek obecnie nowotarska władza duchowna żyje w zgodzie z władzą świecką, mimo to zegar kościelny z zegarem miejskim nigdy jakoś zgodzić się nie mogą Co zaś ważniejsze, że oba zegary stale idą później od kolejowego, co było już nieraz powodem, że ludzie spaźniali się na termina sądowe, albo też do pociągu. Widocznie w gminie komuś na tem chyba bardzo zależy, żeby czas miejski był znacznie późniejszy od kolejowego.

Z niwy pocztowej. Od dłuższego już czasu dorę za listy i posyłki pocztowe w Klikuszowej, tudzież w wioskach okolicznych listonosz wiejski F. Gach, pochodzący z Nowego Targu. Listonosz ten ma w zwyczaju, że listy dla stron najpierw sam otwiera i czyta, a potem niesie gotową nowinę adresatom. Najlepsze świadectwo podobnych nadużyć może dać w tej sprawie gospodarz Jędrzej Czerwiński z Klikuszowej. U tego samego gospodarza zgłosił się tenże listonosz przed paru dniami i w nieobecności rodziców straszył 7-letnie dziecko, że będzie je zaraz aresztował, jeżeli mu nie powie, co rodzice o nim mówili. Dodać trzeba, że ten Gach chodzi zawsze uzbrojony w rewolwer i pałkę, — rzecz naturalna — może siać postrach pomiędzy dziećmi. Możeby władza pocztowa wglądnęła w to energiczne urzędowanie krewkiego listonosza.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Władysław Wąsowicz.

Z cmentarza uczuć.

Podał jej ramię, a wówczas wyszli na ulicę w ową prześliczną, gwiaździstą, choć mroźną noc zimową. Powietrze było spokojne, a ciszy, panującej w przyrodzie, nic nie mąciło. Po tej dusznej, wonią perfum przepełnionej atmosferze, jaka panowała w salonie, z podwójną siłą odczuwali dobroczynny wpływ świeżego powietrza.

— Czy woli pan może, abyśmy tę drogę, która i tak jest niewielką, przebyli pieszo? — zapytała. W takim razie odesłałabym konie, które tu na mnie czekają.

Oczywiście zgodził się na tę przechadzkę, zapytując Margi, gdzie mieszka. Wymieniła jedną z najgłówniejszych ulic tuż przy operze nadwornej. Skoro jednak chciał się zwrócić w ową stronę, uczuł lekkie uściśnienie jej dłoni.

Wieczór tak jest piękny! Jeśli pan nie jest zmęczony, to chodźmy może dalszą drogą.

Zmęczony? Ach, Margo, doznaję takiego uczucia, jak gdybym był pił z ożywczego zdroju, jak gdyby owych ostatnich lat dziesięć — sennem tylko było marzeniem.

Nie odpowiedziała nic. W milczeniu przeszli wielki plac przed pałacem i — gdy już innej drogi nie było — zboczyli w stronę, gdzie pełno było najciaśniejszych zaułków w starej części miasta. Wtedy dopiero zapytał Rolf:

— Czy przez ten czas przechodziłaś kiedy tą drogą, Margo?

— Raz tylko i to nazajutrz po mym przyjeździe.

— A potem już nigdy?

— Nie. Nie było sposobności. A zresztą wszystko się przecież tak zmieniło.

Pewnie. Całkiem się zmieniło. Ale, czy nie mogłoby wszystko wrócić do tego samego stanu, jaki był wówczas?

Znowu milczała. On też na razie nie powtórzył swego pytania, bo stali właśnie przed domem, w którym mieszkał niegdyś. Spojrzeli równocześnie w górę na małe okienka na drugiem piętrze, poza któremi prześnili najpiękniejszy sen swej młodości. Okna te były oświecone, pod jednem zaś z nich była przymocowaną tablica, na której dzięki księżycowi można było przeczytać z łatwością napis:

»Czyszczenie i naprawianie ubrań męskich«.

Brama domu była otwartą. Mnóstwo skrzyń i beczek było tam złożonych, z głębi zaś wydobywała się niemiła jakaś, stęchlizną nasycona woń.

Ni słowa nie przemówiwszy, poszli dalej. Oboje wiedzieli dokładnie, w którą teraz stronę podążą. Droga przez wąskie, krzywe uliczki wiła się zygzakowato. Uliczki te wyglądały teraz tak samo, jak wtenczas, kiedy wśród mroźnych nocy zimowych Rolf Arn, po rozkosznie spędzonym wieczorze, odprowadzał do domu wysmukłą, młodziutką dziewczynę. Każdy kącik, każdy gzyms, schody, wszystko poznawał. A wtedy zdawało się, że słyszy jasny głosik dziecięcy Margi, skarżący się, ilekroć do domu powracali:

— Ach, tak jestem znużoną! O, jakże mi zimno!

A on — myślał o tem, jak w takich chwilach — wraz ze swą peleryną, zarzucał jej swe ramię na szyję, jak wtedy ona, jak drżące ptaszę, tuliła się do niego.

— Ach, mój drogi, jakżem zmęczona śmiertelnie!

A on stawał wtedy, okrywając ją pocałunkami.

— A teraz, kochanie, czyś już nie zmęczona?

— Troszkę tylko. Ale — tak mi zimno okrutnie!

Przycisnął ją do piersi i długo, długo całował. Wszakże nikt ich nie widział, a jedynym świadkiem wszystkich tych czułości — był tylko księżyc.

— Czy ci teraz ciepło?

— Tak, całkiem ciepło. Ale z góry ci powiadam, że to nie na długo. Moja katanka strasznie cieniutka.

Widział ją w tym skromnym żakieciku, wszak wiedział jeszcze teraz, że na tym żakiecie było pięć wielkich guzików z perłowej masy, z których jeden musiał zawsze zwisać, jakkolwiek codziennie zapewniała, iż dopiero wczoraj go przyszyła. A potem spoglądał na ową wspaniałą damę w drogocennym futrze, wsłuchiwał się w szelest jedwabnych jej sukien, które tuż obok niego śnieg z drogi zmiatały. Po tem wszystkiem zaś taki go ogarnął smutek, iż sam nawet nie byłby w stanie wytłómaczyć nikomu, co tak bardzo duszę jego uciska.

Nie mówili nic, ale poszli dalej drogą wspomnień poprzez mały malowniczy plac, z prastarą studnią i figurą, która w świetle księżyca tak czarująco wygląda, że każdym razem na nowo stawali przed nią z okrzykiem zachwytu. Plac ów i studnia — wszystko — wyglądało jeszcze tak samo, jak wówczas. Ale, rzecz dziwna. Nic już w nich szczególnego nie było, nie mówiły im też one niczego. O, jakże małe musiały być wówczas ich wymagania, w tych czasach szczęśliwych, w czasach młodości.

Tylko jeszcze kilkaset kroków, a potem — potem — byli u celu swej wędrówki. Była to zwyczajna kamienica, w której młoda konserwatystka od jakiejś rodziny kupieckiej odnajmowała malutki pokoiczek. Dziewczę strzegło się wtedy bardzo, aby rodzina, przy której mieszka, nie dowiedziała się, iż wraca tak późno, ale drzwi znajdowały się w długim, ciemnym korytarzu między dwoma domami. A ona — tak się bała okrutnie, ilekroć bez świecy wchodzić tu musiała! Raz nawet, ze strachu przed kotem, który się niespodzianie zjawił, o mało nie zemdlała. Toteż on musiał zawsze naprzód zbadać teren, przekonać się zapomocą laski, czy tam czego niema, poczem dopiero ona, śmiejąc się, lecz zarazem i drżąc na całem ciele, wchodziła do domu.

Dokończenie nastąpi.

Drukiem Józefa Fischera w Krakowie.